Lwów. 29. Grudnia **№ 155.** Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr. 20 kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

KRÓL DZIADÓW.

(Dokończenie).

XII.

Skarb zakopany.

Śliczny był wieczór, prawdziwie letni, prawdziwie czerwcowy. Droga cała od Wyżyniec ku Monastyrowi i rzece, wiodąca wzdłuż wysoką trawą porosłych błoni, i łęgów karłowatemi krzakami pokrytych, przy oświetleniu księżyca, odbijącego od rzęsistej rosy, wyglądała jakby iskrzącemi brylancikami zasłana, do których co chwila z krzaków i drzew przybywały świętojańskie robaczki, niby latające iskry diamentowe. Ile było uroku, tyle było i woni, która zewsząd, i z drzew i kwiatów, z krzewów i trawy, ze siana tu i owdzie pokoszonego, z dalszych pól zbożem zasianych, unosiła się po powietrzu, łącząc cudny krajobraz i pogodne niebo, w czarującą całość, z którą cudownie harmoniowała ta cisza wieczorna, z rzadka przerywana wszystkiemi temi głosami coraz cichszemi, które poprzedzają zupełne uspienie natury.

Wieczorny ten krajobraz, tchnący sielskim pokojem i urokiem, zmieniał się jak już wiemy, im bliżej drogi z Wyżyniec i Niżyniec zbliżały się do sterczącej z dala góry, niknącej po połowie w fantastycznym mgły wieczornej płaszczu. Coraz gęstsze i ciemniejsze krzaki, dodawały tam całemu krajobrazowi nowego powabu tajemniczości, wyglądającej z łona cienistszych zakątków.

I coraz ciszej i spokojniej było. Żaden wietrzyk się nie ruszył, i najsilniej natężone ucho nie usłyszałoby ani ludzkiego ani zwierzęcego kroku. Nagle zaszeleściało w jednym z gęstych krzaków nadbrzeżnych; zadrzały liście, jakby wiatrem poruszone, i pomału, ostrożnie wysunęła się z gęstwiny jakaś postać ludzka. Śledcze naprzód wystąpiły oczy, a za niemi posuwała się z wolna ciemna postać wzdłuż krzaków nadbrzeżnych. Musiał to być wędrowiec nieprzyzwyczajony do takich nocnych wycieczek, lub miał ważne tajenia się przyczyny, bo z każdym niemal krokiem zatrzymywał się, i z nieufnością przypatrywał każdemu dalej występującemu cieniowi, z trwogą przysłuchiwał się najniewinniejszym głosom, jakie go dochodziły to z futorków dalekich, to z pastwisk, zapełniających się chłopcami, wiodącemi konie na nocną paszę.

Zbliżył się nareszcie wędrowiec do ostatnich krzaków nadbrzeżnych, od których należało przejść przez miejsce otwarte, światłem xiężyca jakby w dzień oświecone, aby stanąć przy krzyżu nam już znajomym, i przy pasiece, do której samotny piechotnik zdawał się dążyć.

Zawahał się chwilę i ostrożnie wyciągnął szyję. Lecz tak było cicho i spokojnie w około, jakby cała okolica snem wiecznym usnęła. I cichym krokiem zgarbiwszy się, jakby się chciał ukryć w cień bujnej trawy, przeszedł wędrowiec to miejsce tak jasne, że ktobykolwiek stał wówczas czy przy figurze czy na znanej płycie kamiennej, albo nawet był ukryty w cieniu drzew na górze rosnących, musiałby poznać wsuwającego się do pasieki.

Lecz zapewne nikt go nie widział, bo żaden ruch ogólnej nie przerwał ciszy. Tam tylko nie daleko płyty, w jednym z krzaków zadrzały liście i łysnęły księżycowemi promieńmi, ale tak z lekka, że to chyba zbudzona snem niespokojnym ptaszyna poruszyła się na swej gałązce.

Wędrowiec odważniejszy w cieniu drzew pasieki szybszym krokiem przebiegł jej przestrzeń, i zbliżył się do jednego rogu, który wyglądał jakby stara mogiła zielskiem i krzakami zarosła.

Stanął znowu i pomału dobył z za ciemnej szaty dwa przedmioty, które załyszczały nieco. Była to rurka pistoletu, i blacha małej latarki. Trzymając oba te przedmioty w ręku, zaczął pomału przechadzać się w około owej mogiły, odchylając wolną ręką bujne zielska i krzewy, jakby tam szukał czego. Po kilku chwilach snu znalazł, bo się wstrzymał, zgiął i nagle zniknął, jakby się w ziemię zapadł.

I znowu coś łysnęło, zaszeleściało; przemknęło się przez krótką chwilę jakieś światełko niby, może to robaczek świętojański, i znowu było cicho i ciemno w koło zarosłej mogiły.

Za nim się dowiemy, po co przyszedł ten wędrowiec, i co się z nim stało, przenieśmy się na chwilę do chaty starego króla dziadów.

Wasyl siedział na zwykłem miejscu swojem przy stole, i z zwykłą nieruchomością a powagą patrzał niby przed siebie.

Przed nim stał Srul Feigele, w postawie daleko skromniejszej i potulniejszej, niżeliśmy go widzieli przed parą godzinami w Wyżyńcach. Bo żyd jakkolwiek bogaty, i właśnie może dla tego że bogaty, ogromnym był tchórzem, i Wasyla bał się jednego w całej okolicy. Dla czego się bał, nieumiałby nikomu wytłumaczyć, ale zwyczajnie jak u nas żyd choćby najbogatszy, mało ukształcony, najdziwniejsze miał wyobrażenie o władzy przyrodzonej i nadprzyrodzonej króla dziadów. Przybył on do niego przed godziną dopiero, bo jego nędzny konik wlókł się nieznośnie, i zkorciało go jeszcze wstąpić na bok do karczemki, trzymanej przez zięcia, z którym miał rozmaite rachunki.

Nie wiele było jego rozmowy z starym Wasylem, który w tej mierze prawdziwy wieśniak ruski, to tylko rozumiał i słyszał, co chciał zrozumieć i usłyszeć. Cała zaś przemowa żydowska od samego początku nie przypadała do smaku staremu, który prócz tego dzisiaj właśnie dziwne jakieś, niespokojne i rozdrażnione miał usposobienie. Jak to się często trafia między ludem prostym, u tych którzy pewną władzę niby tajemną mają nad drugiemi, że w końcu sami w nie uwierzą, i lada wewnętrzny niepokój uważają za jakieś natchnienie, za głos nadprzyrodzony, tak i stary Wasyl pomału przyszedł do tego niezłomnego w nim przekonania, że przeczuwa i przewiduje rzeczy drugim niedosięgnięte, każdy więc swój niepokój, każde staremu jego wiekowi a silnym pomimo namiętnościom właściwe rozdrażnienie uważał za ów głos wewnętrzny, przeczuciem jakiegoś ważnego zdarzenia przemawiający.

I dziś co chwila zdało mu się, że ważna zajdzie przemiana w jego życiu. Czy smutna czy wesoła nadaremnie biedził się przewidzieć; ale każdy ruch za chatą, każdy głos nieco donośniejszy, uderzył go jako zwiastun tej ważnej, co krok już bliższej a stanowczej chwili. Łatwo pojąć, że przybycie Srula w takiej chwili najnieprzyjemniej go trafiło, odrywając od samotnego rozpamiętywania, którem stary przygotował się niejako do owej stanowczej zmiany. A może i przedmiot przez żyda w rozmowie podniesiony miał coś w sobie takiego, co nie wpadało w myśli i plany starca.

— Albo on głupi zakopywać! rzekł po chwili milczenia król dziadów. Cóż się wam uroiło mój Srulku!..

— Ja pewny jestem... i jeżelibyście chcieli... moglibyśmy razem...

— Ot pleciecie arendarzu!.. ja stary już, do niczego, i o niczem wiedzieć nie chcę...

Żyd się wpatrywał w niego, bo to ciągłe zaprzeczanie, zaczynało naprowadzać podejrzliwego zawsze żyda na różne myśli.

— Wy jak zechcecie!.. ozwał się znowu...

— I dziś nie dzień do odkopywania skarbów...

— Dla czego dziś nie dzień? zagadł ciekawy i przestraszony nieco żyd.

— Co ty rozumiesz niewierny żydzie? ofuknął go król dziadów. Kto by dziś chciał skarb wykopywać, tego by zdybało największe nieszczęście.

Ledwie ostatnie wymówił słowo, gdy obaj mówiący usłyszeli szybkie stąpanie bosych nóg, drzwi się otworzyły, i wbiegł przez nie zadyszany Semen, z twarzą zdradzającą coś nadzwyczajnego.

— Ktoś wkradnął się do pasieki! wyrzekł szybko.

To zadrzenie listków w ciemnym krzaku niedaleko od płyty kamiennej, pochodziło od Semena, który po całych dniach, wieczorach i nocach bacznego nie spuszczał oka z miejsca, gdzie miał być skarb zakopany, którego pilnując niby dla króla dziadów, pilnował właściwie dla swego ulubionege panicza.

— To on już! zawołał żyd. Ja to przeczuwał.

— To on!.. powtórzył Semen, poznał ja go zdaleka.

— To on!.. krzyknął król dziadów, i zerwał się z miejsca swego, jak gdyby mu pół wieku ubyło. Tyś żydzie jemu powiedział!...

— Ja tak!.. jemu coś bąknął...

— Nie ty żydzie!... ale ten co nami wszystkiemi włada!.. ten co mi w dzień i nocy powtarzał ciągle: «Przyjdzie Wasylu twoj dzień.» I przyszedł!... Chodźcie za mną...

To rzekłszy poszedł tak prosto i żwawo ku drzwiom, a oczy takim załyszczały blaskiem, jak gdyby nigdy nie był ślepym.

— Gdzie jest góral?.. spytał król dziadów już we drzwiach.

— Spi już na strychu!...

— Żeby się tylko nie obudził!.. A Iwan?...

— Niewiem!..

— To źle!.. powinieneś był wiedzieć!.. Boże! dodał ciszej, i podniósł oczy i twarz do góry.

Twarz i oczy łyszczały dziwnie szlachetnym i energicznym wyrazem.

Wyszli z chaty, Wasyl i Semen na przedzie; żyd z tyłu trzęsąc się już ze strachu i przeklinając swoje niepotrzebne wdanie się w tę sprawę.

A gdy za pierwszą znikli skałą, z chaty wyszedł jeszcze czwarty, i poszedł zdala za niemi. Był to Eugeniusz, zawsze w stroju góralskim. On nie spał, bo czekał na odpowiedź majora. Zasłyszawszy kilka słów z nadto żwawej rozmowy, zmiarkował że rzecz iść może o ów skarb, który go o tyle obchodził, że mimowolnie się o nim dowiedział.

Zdało się mu więc być obowiązkiem czuwać nad nim aż do przyjazdu majora, którego się spodziewał i serdecznie wyglądał.

Wracajmy teraz do nieznajomego, który tam w krzakach mogiłę otaczających znikł nagle.

Jako świadomy dobrze tego miejsca, wiedział on, że ta kupa zielskiem zarosła nie była mogiłą, ale starem rumowiskiem z dawnego jakiegoś budynku powstałem, które czas nie lubiący nagich zwalisk, pokrył już od dawna bujną roślinnością.

Rumowisko to było ostatnim szczątkiem czy onego rozbójniczego zamku, czy onej zbójeckiej karczmy, o której wieść niosła. I szczątek ten mógł zarówno stosować się do zamku jak i do karczmy, bo było w nim wnijście zielem i krzakami zasłonięte, prowadzące do obszernej piwnicy. Mówiliśmy już, że cała ta pasieka złą bardzo miała reputacją u ludu, i po zachodzie słońca od dawna już nikt by nie zaszedł za wszystkie skarby świata. Starsi tylko przebąkiwali czasem o jakiejś wielkiej piwnicy, do której czy pan zamku, czy pan karczmy bogatych gości swoich trupami wrzucał, i po której od północy do rannego kura wszystkie dusze zamordowanych bez spowiedzi niestworzone wyprawiają hece.

Nie wdając się w to, jak to było w samej rzeczy, chodźmy za nocnym wędrowcem, który wsunąwszy się przez krzaki ku piwnicy i zapaliwszy latarkę, wnet znalazł ciasne dosyć wnijście, które się coraz rozszerzało i kilką schodami wsuwało się do wielkiej obszernej sklepionej piwnicy. Już był nogą posunął, by na pierwszym stanąć schodzie, gdy zdawało mu się, że tuż za krzakami usłyszał jakiś głuchy szelest, jakby ciche stąpanie. Może to był i skutek rozbudzonej wyobraźni, ale jak dobrze przysłowie powiada: na złodzieju czapka gore. Nieznajomy zadrżał, duchy w sobie zaparł, i w pierwszym przestrachu pistolet wypadł mu z ręki. Długą chwilę stał i czekał, lecz nic nie usłyszał prócz bicia własnego, zastraszonego serca. Uspokojony nieco, posunął się znowu ku wejściu, lecz czy niemógł odrazu znaleść pistoletu, czy może rad by co prędzej zniknąć w piwnicy, a może też i w tej chwili przyszło mu na myśl to szczere przed sobą samym wyznanie, że ten pistolet nie wiele by mu pomógł, bo by mu zapewne w razie odkrycia zabrakło potrzebnej do użycia go odwagi. Co bądź było dosyć, że nieznalazłszy pistoletu od razu, wsunął się co prędzej do otworu, i wnet znalazł się w piwnicy.

Kto by się w ówczas był przypatrzył panu Ignacemu, bo że on był tym nocnym wędrowcem, czytelnicy moi dawno już odgadli, niebyłby w nim poznał zapewne ani salonowca, a co więcej, niezrozumiałby, zkąd się w człowieku wszelkiej energii pozbawionym, bojaźliwym, zebrało na taką odwagę. Twarz jego pobladła okropnie, była zmieniona do niepoznania. Była na niej rozpaczliwa determinacja, przypominająca nieco wyraz prowadzonego na śmierć zbrodniarza. Ta zaś niby odwaga, którą opłacał śmiertelną dreszczą i potem, co mu gorąco z wnętrza wychodził, a lodem stygł na ciele, ta odwaga nieszczęśliwa dowodzi tylko, co człowiek bez prawdziwej wartości moralnej, bez szlachetności duszy, którą ani rodem, ani majątkiem się nie nabywa, co taki człowiek jest w stanie zrobić dla pieniędzy. Od skoczka na linwie tańcującego, aż do złodzieja z wytrychem w ręku, wszystko zrobi, byle nie pracować po prostu, po poziomowemu na chleb powszedni.

Biedny pan Ignacy był wpół nieżywy, i sto razy z drogi byłby już dawno uciekł, gdyby nie rozpacz wczorajszego pana, jutrzejszą nędzą rozbudzona.

— Czy tak zginąć, czy tak!... powtarzał sobie, kłapiąc zębami. A nuż się uda.

I drżał, i wzdychał, i modlił się nawet po raz pierwszy może od lat trzydziestu, i szedł naprzód na uginających się nogach, bo w końcu tej okropnej wędrówki widział złoto.... Złoto! tylko złota jak najwięcej!... a potem!... A niech tam potem i świat cały runie do góry nogami.

Znalazłszy się w piwnicy odetchnął trochę pan Ignacy i podniósł latarkę do góry....

Monolog jego był niemy i krótki....

— To jest to miejsce, w którym musiał schować Wiciewicz swój skarb ogromny. Innego lepszego miejsca niema w całej pasiece. Znam to miejsce od dawna, i skarb ów podług wszelkiego podobieństwa jest tam gdzie przed laty...

Tu choć ani słówka nie mówił głośnego, samą myśl dalszą połknął bez wyraźniejszego w głowie odcieniowania.

— Mam czas, nikt tu nie przyjdzie, bo się wszyscy tego miejsca boją.... tak się ciągnął niemy monolog. Pewien jestem, że ten szelest, co mnie przestraszył, był skutkiem wyobraźni rozognionej gorączką obawy, żądzą złota, i nadzieją pełnego użycia. Przesięgnę że nikomu się nieśni szpiegować mnie.

Musimy przerwać monolog raz jeszcze, aby powiedzieć, że pan Ignacy byłby krzywoprzysiągł. Ów szelest usłyszany nie był dziełem wyobraźni. On był nadzwyczaj naturalny.

Pod owem drzewem, o które oparty Eugeinusz oczekiwał na przybycie pięknej Hani, w wysokiej trawie leżał jakiś człowiek. On nie myślał szpiegować pana Ignacego, o którego przybyciu dziś w nocy ani mu się śniło. Ale on szpiegował przecie. Należał bowiem do tych ludzi, którym szpiegowanie jest rozrywką, jest życiem, jest instynktem, jest potrzebą, jest namiętnością. Gdyby inne urodzenie, inne wychowanie i inny czas, Iwan, bo to on był, zostałby niezawodnie zaszczytem ulicy jerozolimskiej w Paryżu, prawą ręką sławnego księcia Otranti.

*

Iwan, prawnuk króla dziadów, prócz ochoty do szpiegowania miał i swoje powody. Dorozumiał się wielu rzeczy, które podpatrzył lub podsłuchał, ale dorozumiewał się po części tylko. Zrozumiawszy wszakże, że w tajemnicach, o jakich nieraz gadali król dziadów i Semen, i on jest zainteresowany, tem więcej nasadzał się na szpiegostwo. Tym sposobem zasłyszał coś i o skarbie i o pasiece, a osobliwie przekonał się, że Eugeniusz kocha się w Hani i jest od niej nawzajem kochany. Nadmieniliśmy już że mimo młodego bardzo wieku miał w sobie zarody wszelkich najgorszych namiętności, obok dzikiej i energicznej, chociaż skrytej w sobie natury, jaką często w ludziach jego rodzaju wyrobi zupełne zaniedbanie wychowania moralnego i religijnego. Hanię kochał namiętnie. Dla czego kochał i jak mógł kochać, należy to do owych tajemnic nigdy zupełnie nie odgadnionego serca ludzkiego. Po miłości do Hani, najsilniejsza w nim namiętność była nienawiść do Eugeniusza i całej jego rodziny, nienawiść, której psychologiczna przyczyna, pominąwszy zazdrość jaka wre nieraz w ludziach jego stanu do ludzi wyższego stanu, spoczywała może w dawnych jeszcze przypomnieniach dawniej jeszcze wyszpiegowanych.

Temi to wszystkiemi pobudkami razem połączonemi wiedziony, zaczaił się pod owem drzewem, aby i skarbu i pasieki pilnować, i czuwać nad krokami swego nienawistnego rywala. Postrzegłszy kogoś wchodzącego do pasieki o czasie tak niezwykłym, przyczołgał się za nim, i widział jak nieznajomy wsunął się między krzaki otaczające piwnicę, o której istnieniu rzeczywiście nie wiedział.

Pana Ignacego poznał od razu, bo ludzie jego usposobienia mają zwykle doskonałe oczy, do kocich podobne. Tem więcej jeszcze pobudzony, chciał zaraz pospieszyć za nim, i gdy się przedzierał przez krzaki, omal się nie zdradził. Przycupnął chwilę, lecz wnet wsunął się po cichu za krzaki, wchód do piwnicy ukrywające, i macając w koło jedną rękę wsunął do otworu, gdy druga przez przypadek, bo zrządzenie wyższe chętnie nazywamy przypadkiem, uchwycił opuszczony przez pana Ignacego pistolet. Zatrzymał się chwilę, rozmyślając, czy ma iść dalej, czy czekać na powrót pana Ignacego, którego przybycie tam, że miało styczność z owym skarbem łatwo odgadł.

I miał nad czem pomyśleć:

— On przyszedł po skarb; a więc wyjdzie z nim. On jest sam, i ja sam. On ze skarbem, ja z moją nienawiścią. On bezbronny, ja z bronią morderczą w ręku. Noc, nikogo niema... skarb może być mój.

Takie mniej więcej były myśli jego, gdy usłyszał inne zbliżające się kroki. A więc odsunął się i czekał co dalej nastąpi.

Pan Ignacy tymczasem kończył swój niemy monolog.

— Znam to miejsce... poszukajmy w nim.

I postawiwszy latarkę z rozpaczliwym pospiechem poszedł wprost do jednegu rogu piwnicy. Tam był stos kamieni, które jeżeli wieść ludu była prawdziwa, służyły może kiedyś na zawalenie lochu, do którego wrzucano trupy zamordowane.

Z gorączkowym ruchem zaczął ręką szukać pomiędzy kamieniami. I snać znalazł, sp ocone rozjaśniło się czoło. Przykląkł, i ręka znikła w jakimś dole, który zakrywał stos kamieni. Zgięty aż do ziemi nic nie widział, nic nie słyszał; słuch i wzrok byli w ręku, która coraz głębiej tonęła w lochu.

Była długa chwila oczekiwania i niepewności, której przebycie dla człowieka takiego jakim był pan Ignacy, było już ogromną karą. Bo co było jeszcze w nim szlachetniejszego, co mu zostało z wychowania, co się wyrobiło przez dumę rodową, co się mniej czy więcej wykształciło przez polor światowy, i to życie w wyższej sferze, obdarzające mimowolnie jakiemś uczuciem jeśli nie szlachetniejszem to przynajmniej delikatniejszem, wszystko to razem rozbudziło się w nim i szarpało jego sumienie przekonaniem o własnej niegodności. Bo sumienie nigdy w żadnej życia chwili i w żadnem położeniu nie milczy zupełnie.

— Ale kość już rzucona!... Tam nędza!... tu ratunek!.. przemknęło łyskawicą przez głowę, która w takiej chwili nie zdołała nawet zdrowo sądzić. I ręka sięgała coraz niżej. Wszystkie zmysły, wszystkie myśli, wszystkie uczucia drgały w pięciu tej ręki palcach.

I dotknął, dosięgnął, porwał w ręce i wyciągnął...

To był rzeczywiście skórzany worek Wiciewicza, niewinna przyczyna śmierci biednego Marty kota.

Podniósł się pan Ignacy, blady, drżący okropnem natężeniem. Odwrócił się ku zostawionej na środku latarce, i... zdybał się oko w oko, z stojącym na przeciwko niego królem dziadów... A dalej w cieniu stał Semen, i drugie dwoje oczów złowrogich patrzały na osłupiałego.

Tego uczucia, jakiego doznał w tej chwili pan Ignacy, żadna pióro nie opisze, bo ledwie je zdoła wyobrazić sobie najognistsza wyobraźnia.

Worek wypadł z bezwładnej pana Ignacego ręki i z brzękiem uderzył o ziemię. I z rozpękniętej worka skóry posypało się złoto tym swoim czystym i ponętnym dźwiękiem. Złoto posypało się między nim i królem dziadów; złoto to pierwsza jednego przewina, a drugiemu przyczyna długo karmionej nienawiści i zemsty.

Zimno i złowrogo patrzały na niego oczy króla dziadów, złowrogo i złośliwie patrzały oczy Semena. A ileż by okropniejsze było uczucie pana Ignacego, gdyby mógł widzieć jeszcze dwoje oczów, które patrzyły na niego z

głębi wnijścia, z wyrazem, w którym mieniały się i zgroza i przestrach, oburzenie i litość, przywiązanie i pogarda; wszystkie te najsprzeczniejsze uczucia, jakie mieścić się mogą w sercu czuć zdolnem. Bo to były oczy syna patrzącego na hańbę i wstyd własnego ojca. Kto w tej chwili więcej cierpiał, ojciec czy syn, bóg to chyba jeden odgadnie. Eugeniusz wsunąwszy się za idącemi niepostrzeżony pozostał w tyle, i zrozumiał część tej sceny, część okropną. Okropniejszej się już spodziewać nie mógł.

A wyżej nad nim jeszcze dwoje patrzało oczów, zawieszonych przy samem wnijściu jakby dwa płomieniste kagańce, godne oświecać tę scenę złowrogim wzrokiem swoim. To były Iwana oczy, zaczajone, szpiegujące.

Srula nie było. Za nadto był przestraszony żyd, i za nadto już bogaty, by się chciał dalej ryzykować. Przy wnijściu do pasieki umknął niepostrzeżony, i złapawszy konika w krzakach schowanego pogonił przed siebie. Tak był pomieszany, że tą samą wracał drogą, którą z Wyżyniec nadjechał.

I dla tego niedaleko ujechawszy zdybał majora z Marcinem. Postrzegłszy majora, czy może go sumienie ruszyło, czy może był to skutek przestrachu, zaczął mu opowiadać wszystko, co widział i czego się domyślał, bo Srul jako prawdziwy żyd miał zawsze sposób dowiedzieć się o tem nawet, jeżeli się nie domyślić, co mało kto inny mógł wiedzieć.

Lecz w skutek przestrachu i pomieszania, zatrzymał majora z pół godziny, za nim się o tyle wytłumaczył, że go major zdołał zrozumieć.

Major zrozumiawszy o co rzecz idzie, przerażony do najwyższego stopnia, spiął konia ostrogami. Ale pół godziny już stracił. A pół godziny!... to czasem zbawić, to czasem zgubić może.

W piwnicy tymczasem czas jeszcze jakiś ponure trwało milczenie. Pan Ignacy nietylko słowa żadnego nie był w stanie wymówić, ale całej myśli jednej nie zdołał skleić. Wszystko w nim było poszarpane, popękane, rozpierzchnięte. Cierpiał tylko, ale cierpiał tem wszystkiem, czem człowiek cierpieć jest w stanie.

— Zdybujemy się raz jeszcze w tem samem miejscu, ozwał się wreszcie król dziadów; a głos jego był suchy urwany.

— Jasny pan przybyłeś znowu po pieniądze! dodał głosem, który stawał się coraz więcej szyderczy.

Pan Ignacy uczuł szyderstwo bolem prawie fizycznym, lecz siły do odpowiedzi nie było w nim.

— I znowu po cudze!... mówił dalej król dziadów głosem coraz donośniejszym, coraz namiętniejszym.

Pan Ignacy milczał, ostatnie dobywając z siebie siły, aby nieodpowiedzieć za nadto widocznem drzeniem lub przestraszonem dzwonieniem zębów. Na zwaliskach innych uczuć, trzymała się jeszcze duma, jakby ostatnia wieża rozburzonego zamczyska.

— Wiedziałem że się zdybiemy, mówił po chwili stary Wasyl, i w oczach jego zaświecił wyraz tryumfu. Bóg tak chciał, żeby staremu królowi dziadów z iściła się zaprzysiężona zemsta. I ta cię jasny panie nie minie.

Szybko jak łyskawica przyskoczył Eugeniusz i stanął między ojcem i królem dziadów. Nic nie mówił, ale po dzielnej młodzieńca twarzy poznać było energiczne postanowienie.

— Zemsta! zawołał... Miejcie się na ostrożności; i ja tu jestem.

— I ty tu jesteś młody goralu! wyrzekł król dziadów, a głos jego zmięknął nieco. Dobrze się stało, to bóg tak zrządził... Słuchaj więc, co stary król dziadów ma do powiedzenia, bo Wasyl słowami tylko się zemści, nie inną karą... To kradzione złoto co się rozsypało, samo już jest karą. Moja zemsta dalszych czasów sięga, i pokaże się dziś inaczej, niż się wszyscy spodziewacie.

Tu po raz pierwszy od początku tej sceny, pan Ignacy śmielsze przed się rzucił spojrzenie, i z niejaką ciekawością popatrzył na króla dziadów.

— Ja byłem przyjacielem waszego rodu! mówił znowu Wasyl, ale coraz poważniej. Wiedział o tem dobrze stary nieboszczyk, a przecież syn jego zabrał mi pokryjomu i jawnie wszystkie pieniądze, i wyparł się zupełnie. Przysiągłem zemstę... i dokonałem jej... i dwadzieścia lat się nią cieszę...

Ojciec i syn niemogli powstrzymać ciekawości.

— Urodził ci się jasny panie syn, a cieszyłeś się nim lat dwadzieścia.

Tu się król dziadów rozśmiał tak przeraźliwie, aż wszyscy zadrzeli...

— Moja wnuczka była mamką nowo-narodzonego... A z nią czuwała zemsta moja. Śmiech mnie bierze, gdy pomyślę jak jednem słowem mogę....

— Co możesz?.. wyrzekł po raz pierwszy pan Ignacy głosem cichym i przyduszonym.

— Mogę powiedzieć.. żem ci moją zemstę pożyczył na lat dwadzieścia. Nieprawdaż że to śmieszne...

Ojciec i syn patrzali na mówiącego wytężonym wzrokiem.

— Pożyczyłem jaśnie panu mego prawnuka.

— Co?.. wykrzyknęły usta ojca i syna.

— Eugeniusz nie jest synem jasnie pana... Czy rozumiesz jasny panie?

— Kłamstwo!.. krzyknął pan Ignacy, któremu zwrot rozmowy dodał otuchy i dawną rozbudził butność.

— Moja wnuczka przemieniła dzieci, a ten ot Se-

men wyniósł sam w nocy młodego chłopca aż tu do nas, a zostawił dziecko mojej wnuczki...

— Ja na to przysięgnę! ozwał się Semen na to.

W czasie całej rozmowy Iwan wysuwał się coraz dalej, i łatwo pojąć z jakiem natężeniem słuchał. Oczy jego naprzód wydane świeciły się złowrogim blaskiem, jakby oczy tygrysa, czychającego na łup jaki.

— Ale za to, mówił stary Wasyl dalej, wychowałem pańskiego synka jakby swego. Wyrósł pięknie, śliczny chłopiec!... Jasny pan będzie miał z niego pociechę: dodał śmiejąc się szyderczo.

— Iwan?.. w pół zamyślony z cicha zagadł Eugeniusz, któremu w tej chwili przyszło na myśl całe Semena opowiadanie.

— Można go będzie przechrzcić! szydził dalej król dziadów. Jasny pan możesz go sobie zaraz wziąć.

— Synu chodźmy z tąd!.. ozwał się pan Ignacy, który pomału odzyskał zupełną przytomność. Jest to jak widzę zasadzka na nas uczyniona przez tych nędzników.

— Piękna zasadzka! mówił znowu król dziadów, a lepsze były cudze pieniądze...

— Dowiedziawszy się od Srula, że je tu Wiciewicz zakopał, chciałem je ratować i dobrzem zrobił, bom tylko o kilka chwil was uprzedził.

Jakkolwiek niekoniecznie do prawdy podobne było to tłumaczenie, Eugeniusz przyjął je z wielką pociechą, nie zastanawiając się nawet nad nią. Jakoż zbliżył się do ojca, i spojrzał na niego wzrokiem przepraszającym prawie.

— Mniejsza o skarb Wiciewicza, zagadł król dziadów. Sąd rozstrzygnie, kto go chciał zabrać. Ja tylko żądam, aby mi moje dziecko zostało oddane, a panu hrabiemu chcę nazad oddać jego synka.

— Bezwstydność tych ludzi dochodzi do najwyższego stopnia, lecz i my znajdziemy sprawiedliwość. Chodźmy mój synu.

— Chodźmy kochany ojcze!... odpowiedział z większem niż zwykle uczuciem, bo go ta cała scena nadzwyczaj oburzała, nie przez wzgląd na swój własny los, bo się nad nim nie zastanawiał, ale przez wzgląd raczej na cały nieprawy i haniebny pozór tej sceny.

— Chodźmy! powtórzył, i z determinacją podał ojcu rękę.

— Czy tak?.. ozwał się nagle głos nowy, chrapliwy, syczący.

Był to głos Iwana, który zawsze stał jeszcze ukryty przy wnijściu do piwnicy. Rozmowa którą słyszał, rozjaśniła wszystkie wątpliwości, jakie już miał dawniej, i otworzyła mu niejako inną zupełnie przyszłość, która tak mu się wydała ponętną, że się jej uczepił z całą swoją namiętną energją. Mimo swojej przebiegłości, za nadto był ograniczony w swych pojęciach, aby na chwilę powątpiewać mógł o prawdopodobieństwie takiej szczególnej zmiany losu. Już nawet chciał występować z ukrycia swego, by zaraz wstąpić w nowe koleje, gdy usłyszawszy słowa ojca i syna, zaczął się obawiać, by go to szczęście nie minęło. Jakkolwiek chwila namysłu była krótka a namysł nie łatwy, energiczne i dzikie uspsobienie Iwana znalazło sposób wybawczy.

— Czy tak? powtórzył jeszcze namiętniej...

— Oni nie chcą — oni mnie chcą krzywdę zrobić... dla kogo... dla tego... który i u Hani stoi mi na zawadzie.. I ja będę cierpiał...

To była treść myśli, które lotem przeleciały mu przez głowę.

— Mam pistolet w ręku!... to był rezultat wszelkiego namysłu.

I szybszym od myśli ruchem wyciągnął pistolet.

Obecni, przerażeni nowym głosem, stali jeszcze w milczeniu, gdy nagle zabłysła im z łona ciemności kula pistoletu i dwoje oczów fosforycznem pałających ogniem. Jeden Semen zrozumiał, czyli raczej odgadł od razu co się święci, i rzucił się ku Eugeniuszowi. Lecz już było za późno.

Łysnął strzał, huk się rozległ po sklepieniach piwnicy, a gdy przestraszeni przejrzeć mogli przez chmurę dymu, postrzegli Eugeniusza leżącego już na ziemi. Strumień krwi lał mu się z piersi.

Na ten widok zadrżał pan Ignacy więcej z przestrachu o siebie, niżeli z żalu za synem. A król dziadów z okropnym jękiem rzucił się na Eugeniusza, i to płacząc jak kobieta, to miotając najenergiczniejsze przekleństwa, jął go tulić do siebie.

Najbezstronniejszy sędzia gdyby był temu obecny, musiał by to przyznać przynajmniej, że jeżeli to była komedja, to przynajmniej komedja doskonała. I Semen przyskoczył i ukląkłszy u nóg Eugeniusza leżącego bez wszelkiego ruchu, jął zawodzić okropnie, ściskać i całować nogi jego.

W tem pomieszaniu nikt nie słyszał tętentu koni, który już przed chwilą słychać było. Był to major i Marcin, którzy dojeżdżali właśnie, gdy usłyszeli strzał, i za blaskiem strzału idąc wpadli na Iwana, który w ręku trzymając dymiący jeszcze pistolet, patrzał w dół z dzikim tryumfem. Marcin porwał go za plecy, a major skoczył w środek piwnicy, by zobaczyć tę całą przerażającą scenę...

Nadaremnie patrzał po wszystkich twarzach by zrozumieć co się stało. Pan Ignacy spuścił oczy i milczał. Król dziadów i Semen na żadne odpowiedzieć nie chcieli zapytanie. Oni klęcząc koło Eugeniusza powtarzali tylko:

— Dajcież uam go teraz przynajmniej. On nas!..

Rzućmy zasłonę na tę scenę okropną. Jak w życiu ludzkiem mieniają się największe sprzeczności, tak i w piwnicy, która tylko co była widownią sceny tak tragicznej, w kilka chwil poźniej odbywała się scena prawdziwie komiczna.

Odebrawszy list od majora, przyleciał Wiciewicz z kilką adjutantami Niżynieckiemi, których pochwytał krzycząc gwałtu po miasteczku. Skoro wpadł do piwnicy i ujrzał sakwę z dukatami rozpękniętą, rzucił się na nią z wściekłym zapałem, i póty się z miejsca nie ruszył, póki kilka razy nie przerachował, oglądając się na wszystkich, czy mu kto z pod ręki dukata jakiego nie wyciągnie.

Rzecz całą zrzucono oczywiście na Iwana, któremu Marcin dał jakieś imie. Czy to była przypadkowa, czy umyślna niezgrabność, nigdy na jasne wyłuszczonem nie zostało.

Eugeniusza, nie dającego żadnego znaku życia, zaniesiono do dworku Goździkiewicza. Szli za nim major, król dziadów i Semen. Biedna Hania! Pan Ignácy uczuł się tak okropnie zalterowanym, że powrócił do domu.

Tej samej nocy umarł król dziadów bezdzietny.

* * *

W rok czy więcej może, rozczulająca odbywała się scena w jednym dworku w Delatynie, położonym na wzgórku, w miejscu nadzwyczaj malowniczem.

Był to dzień jesienny, ale pełen jeszcze przypomnień letnich, bo było jeszcze ciepłe słońce, była woń bijąca ożywczo, od gór sosnami i smerekami pokrytych, była jeszcze zieloność ledwie gdzie niegdzie z lekka pocieniowana tą bogatą zawsze a w górach najbogatszą rozmaitością barw jesiennych.

Okno jedno dworka było odemknięte, i z niego roztaczał się cudowny widok na rozrzucone tu i ówdzie chaty i sady, które przezywał wesoło gwarzący Prut, i dalej na podnoszące się coraz wyżej gdyby schody olbrzymie pagórki i wzgórza wszystkie, pokryte gajami, lasami i borami, a tłem do tego obrazu były karpaty, na których czubach kędzierzawych osiadły mgły jesienne, mgły to przeczucia, mgły zwiastunki bliskiej zimy.

Koło okna otwartego w wielkiem poręczowem krześle siedział młodzieniec cudnej urody, ale blady i chudy okropnie. Na twarzy tej przeciągniętej chorobliwie, nie znać już było życia, ale za to wszystko życie, wszystkie myśli i wszystkie czucie weszło mu w ciemne oczy, które zwiększone zda się przez słabość z głębokich i pociemniałych obwódek świeciły jeszcze tak jasno, tak czule i tak rozumnie. On jeszcze temi oczami umiał zamarzyć, najwznioślejszą strzelić myśl, najczystszem błysnąć uczuciem, popatrzyć czy tu koło siebie na piękną ziemię, czy tam nad sobą na piękniejsze jeszcze niebo; wzrok ciała i wzrok duszy umiał połączyć w tych oczach, któremi potrafił i zapłakać jeszcze. Tylko się już niemi zaśmiać nie potrafił. Ale co najwięcej umiał, to patrzyć przez to okno na cudną okolicę, a więcej jeszcze na dwie postacie kobiece, które u nóg jego klęczały patrząc mu w oczy, jakby czekały jego skinienia, całem życiem swojem zawieszone na jego spojrzeniu, w którem chciałyby upatrzyć każdą jego myśl, każde drgnienie jego serca, każden pojaw jego woli, każden puls jego siły żywotnej. I wszystko co chciały, w oczach młodzieńca widziały, wszystko odgadły, wszystko znalazły, prócz nadziei.

W jego oczach była śmierć, w ich oczach były łzy, łzy któremi sączy się krew serdeczna aż do ostatniej kropelki.

Okropna to rozmowa, ostatnia, pożegnawcza.

Młodym człowiekiem umierającym na ostatni stopień suchot był Eugeniusz. Kobiety przed nim klęczące była Hania, żona jego od roku, i pani Wyżyńska, matka jego. Matka! bo nią była przez serce swoje, przywiązane całem czuciem do Eugeniusza. Po latach 20. przywiązania, czyliż mogła się zmienić dla kilku słów nędznego żebraka, wymówionych w złości! A gdyby nawet! widząc cierpiącego, czyliżby nazad nie odzyskała każda kobieta serca macierzyńskiego. O! kobiety w tej mierze mają niewyczerpane źródło czułej miłości! A choć jej czasem myśl jaka wątpliwa przemknęła, ona powtórnie została matką, patrząc na blade lica młodzieńca, na które anioł śmierci rzucał już zda się cień swoich skrzydeł.

Eugeniusz po odebranej ranie długo walczył ze śmiercią. Opuszczony przez lekarzów, cudem ozdrowiał, cudem miłości możnaby powiedzieć. Hani bytność, Hani oczy ciągle na niego zwrócone, Hani gorące modły wyratowały go na chwil jeszcze kilka, by mu te chwile zrobić rajem na ziemi.

I rzeczywiście ten krótki przeciąg czasu, w którym po uzdrowieniu z rany, pojawiły się nieuleczone suchoty, stał się dla młodzieńca istnym rajem. Miłość i poświęcenie się obu kobiet były bez granic. I wszystko troje w tym życiu odosobnionem, przy otoczeniu cudownej przyrody, tak doskonale harmoniowały w swych myślach, za nadto poetycznych na zimną prozę życia, w swych uczuciach za nadto romantycznych na tę lodową rzeczywistość, która zwykle mści się za pogardę jej matematycznych prawideł, przedwczesną śmiercią, nędzą lub szaleństwem.

W tej loterji dla Eugeniusza wypadł los najszczęśliwszy. Umierał młody, nieodczarowany doświadczeniem, niezłamany walkami z tą hydrą bajeczną o wiecznie odrastających głowach, któremi są dzisiaj wszystkie jutra niepewne!...

Od kilku dni co chwila był już słabszy. W sercach nawet matki i kochającej żony wygasla ostatnia iskierka nadziei. A więc musiał umrzeć.

W ostatni może dzień pogodny chciał jeszcze odetchnąć tem powietrzem górskiem, napatrzyć się na te piękne góry, ku którym wzdychał w swych młodzieńczych uniesieniach.

I tak przy oknie przesiedział dzień cały. Jeszcze zapragnął widzieć ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Nie sprzeciwiały mu się biedne kobiety, bo wiedziały, że już mu nic zaszkodzić nie mogło.

I ujrzał te ostatnie promienie, jak łamiąc się to po falach rzeki, to po niższych warstwach krajobrazu, to coraz wyżej po wzgórzach, po gajach, lasach, borach, po omglonych gór szczytach, wlewały się pomału w purpurowe morze zachodniego nieba.

— Co może być piękniejszego, przemówił słabym głosem, który odbijał się jakby echo dawnej siły młodzieńczej. Lubiłem zawsze zachód słońca, który miał dla mnie urok niezwykłej tajemniczości, jakby przechód życia powolny w wieczność, w nieskończoność nieodgadnioną. I z wami razem patrzyć na ten widok cudowny!.... Najdroższe!... to rozkosz, to użycie!..

— Synu!...

— Mężu! przemówiły kobiety, bo nic więcej przemówić nie umiały. W tych słowach dwóch mieściło się ich całe życie ze wszystkiemi myślami i uczuciami.

— Nie płaczcie, mówił dalej i spuścił ku nim wzrok pełen słodyczy. Kochany od was!... kocham was!... jestem szczęśliwy....

Myśli tlały w nim jeszcze, ale już piersi osłabione nie starczyły im głosu.

— Mam prośbę do was!... przemówił po chwili wyciągając ręce ku obydwóm.

Obie kobiety porwały za ręce, i przycisnęły do nich usta swoje; a na każdą rękę padła łza gorąca matki i żony.

— Powiedz drogi, co chcesz? szepnęły obydwie.

— Żyjcie!... żyjcie!.. ja was proszę!.. wyrzekł jeszcze z ostatniem prawie natężeniem. A w oczach była prośba, błaganie, modlitwa.

— Będziemy żyły! odrzekły obie głośno.

— Jeśli będziemy mogły!.. odpowiedziały im po cichu zbolałe serca.

— Dzięki wam! zasnąć jeszcze!.. zasnąć... cicho!... jak niegdyś w kołysce! wymówił głosem urywanym, i spuszczał pomału głowę, i wielkie zamknął oczy.

Cicho, bardzo cicho było w pokoju.

Eugeniusz zasnął snem najspokojniejszym, bo bez przebudzenia... snem wiecznym.

Obie kobiety klęczały i modliły się. Dwie rzewne modlitwy stały się skrzydłami godnemi tej młodzieńczej duszy, w niebo swych marzeń ulatującej.

* * *

Najsmutniejszy jest obowiązek powieściarza, kończyć koniecznie powieść swoją dodatkowem opowiedzeniem, jakby z gazety wyciągniętem wszystkich drobnych następstw skończonej już katastrofy, jakby dawał spis rannych i pobitych po skończonym już biuletynie.

Ale ponieważ obowiązek, spełnić go należy.

Pani Wyżyńska nie długo przeżyła syna. W krótce po niej umarł stary major. Hania nie umarła bo odżyła w gorącej wierze religijnej. Została siostrą miłosierdzia.

Pan Ignacy ratując swoje stanowisko, w krótce po owdowieniu ożenił się ze starszą panną Gliniecką, a że jakoś szczęśliwie nań powiało, i ta umarła mu żona, a więc co prędzej mógł się ożenić z młodszą panną Glieniecką. Tym sposobem zabrał cały majątek pana Glinieckiego, który objadłszy się na przenosinach drugiej córki umarł na niestrawność. Pan Ignacy został znowu panem i nawet doczekał się jeszcze dwóch synów.

Semen rozpił się i u żyda pod ławą umarł. O Iwanie żadnej pewnej nie było wieści. Przebąkiwano tylko o jakimś opryszku sławnym w Karpatach, którego po jasnych włosach nazywano białym diabłem, albo białym Iwanem.

Co zaś do Niżyńczanów i Niżyńczanek!... Żyją oczywiście, i żyć będą zawsze, bo małomieszczanie, jak wiadomo przecie, chociaż przepomniał o tem Buffon i Cuvier, należą do istot nieśmiertelnych. Jeden Hektor Bums!.... nieumarł także; ale jak twierdzi pani aptekarzowa Nr. 2 mocno cierpi na głowę.

Goździkiewiczów ród wymarł zupełnie. Szkoda ich! ale cóż robić? Nie wrócą już, ani czasy owe w których żyli!....

Józef Dzierzkowski.

POŻEGNANIE.

Raz wyszedłem z mojej chatki,
Po cudowny szczęścia kwiat —
Z cichej chatki od mej matki
W świat wyszedłem, w obcy świat,
I znalazłem serce tkliwe,
I prześniłem dni szczęśliwe.

Dziś minęły dni szczęśliwe,
Mimo młodych moich lat;
O nie dla mnie serce tkliwe,
Znów iść muszę w obcy świat,
Wiodąc życie gdzieś tułacze,
Wspomnę ciebie, i zapłaczę! —

J. C. Z.

☞ Do dzisiejszego Numeru dołączony jest Dodatek.

Dzisiejszy numer jest ostatni z roku 1855.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: **M. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Dodatek do dziennika „NOWINY“ Nr. 155 z roku 1855.

Nowości literackie
w księgarni H. W. Kallenbacha we Lwowie.

Achard A. La robe de Nessus. 2 Vols. Bruxelles 1855 złr. 2
Champfleury, Contes choisis. 1 Vol. Bruxelles 1850 złr. 1
Ferry G. Tangréde de Chateaubrun. 2 Vols. Brux. 1855 złr. 2
Hugo V. Le beau Pecopin et la belle Bauldour 1 V. Brux. złr. 1
Janin J. La comtesse d'Egmont 1 V. Brux. 1855 złr. 1
D'Israeli, Un brillant mariage 1 V. Brux. 1855. złr. 1
Karr A. La Penelope normande 2 V. złr. 2
Lacroix, Mme. Fleur de Serre et fleurs de champs 1 V. Brux. 1855 złr. 2
Maurage A. Diane de Poitiers 3 V. Brux. 1855 złr. 1
— — La duchesse d'Etampes 3 V. Brux. 1855 złr. 2
Maquet A. La belle Gabrielle 10 V. Brux. 1855 złr. 7 kr. 40
Martin L. Esprit de Voltaire 1 V. Brux. 1855 złr. 1
Mayne Reid Capit. Les chasseurs d' Egorges — Bark-Hunters traduit de l'anglais par Squarr 2 V. Brux. 1855 złr. 2
Montépin X. Soeur Suzanne 4 V. Brux. 1855 złr. 2 kr. 40
Niboyet P. Les enfants d'Israël 4 V. Brux. 1855 złr. 8
Saint-Felix J. Cléopatre, reine d'Egypte 2 V. Brux 1855 złr 2 kr. 20
Sand George. Histoire de ma vie 7 V. Brux. 1855 złr. 7
Stahl P. J. Opinions de mon ami Jacques, sur les femmes d'esprit et sur l'esprit des femmes 1 V. Brux. 1855 złr. 1
— — Théorie de l'amour et de la jalousie 3me édition Brux. 1855 1 V. złr. 1
Texier E. La duchesse d'Hanspar 1. V Brux. 1855 złr. 1

SŁOWNIKI.

Bobrowski Fl. X. Słownik łacińsko-polski. Edycya druga. 2 tomy Wilno 1841 złr. 15
Complément du «Dictionnaire de l'académie française, publié sous la direction d'un membre de l'academie française 1 grand Volume en gr. 4. Paris 1847 złr. 12
Dahlmann P. Słownik nowy podręczny polsko-francuzki i fracuzko-polski. 2. wyd. Wrocław 1852 złr. 3
Dictionnaire de l'academie française 2 Vols en gr. 4. Paris 1848 złr. 16
Dictionnaire de l'académie française, avec Complément. Dernière édition 2 grands Volumes en gr. 4to (Ces deux ouvrages reunis forment un veritable «Dictionnaire des dictionnaires» refermant plus 200,000 mots.) Bruxelles 1847 złr. 25
— de l'académie française 6me édition 2 Vols en gr. 8vo Paris 1854 złr. 7
Heyse J. C. A. Allgemeines verdeutschendes und erklärendes Fremdenwörterbuch 11te Ausgabe. Hannover 1853 złr. 6
Jagemann. Dizionario italiano-tedesco et tedesco-italiano 4 Volumes, Wienne 1838. złr. 5 kr. 48
Janusz W. Słownik polsko-francuzki i francuzko-polski 2 tomy. Lwów 1848—1854. złr. 8
Łukaszewski i Mosbach, Słownik polsko-niemiecki i niemiecko-polski. Wydanie 6te Wrocław 1855. złr. 2 kr. 40
Molé A. Neues Wörterbuch der franz. und deutschen Sprache zum Gebrauch für alle Stände, 1 Band gr. 8vo in Pergament gebunden 13. Auflage Braunschweig 5 fl.
Martin J. Dictionnaire nouveau de poche, français allemand et allemand français 1 Vol. złr. 1 kr. 30
Słownik francuzko-polski Berlin złr. 8
— polsko-francuzki 3 tomy Berlin złr. 12
Thibaut M. A. Vollständiges Wörterbuch der franz. und deutschen Sprache 1 Band gr. 8vo in Pergament gebunden. Braunschweig 5 fl.
Trojański J. K. Ausführliches deutsch-polnisches Handwörterbuch zum Gebrauche für Polen und Deutsche 2 Bände schön gebunden 12 fl. 20 kr.
Trojański J. K. Ausführliches polnisch-deutsches Handwörterbuch zum Gebrauche für Deutsche und Polen 2 Bände schön gebunden 13 fl. 30 kr.
Trotz M. A. Nouveau dictionaire polonais, allemand et français 2 Vols. Berslau złr. 9
Trotz M. A. Nouveau dictionnaire français allemand et polonais 2 Vols. Breslau złr. 12
Weber F. A. Handwörterbuch der deutschen Sprache nebst den gebräuchlichsten Fremdwörtern 6te Auflage. Leipzig 1854. złr. 9
Węclewski. Słownik łacinsko-polski do autorów klassycznych zwykle po Gimnaziach czytywanych, Poznań 1851. złr. 4

Dzieła po cenach zniżonych.

Barthelemy J. Podróż młodego Anacharsysa do Grecyi około czwartego wieku przed erą Chreściańską. Przełożył z francuzkiego L. Gołębiowski. 7 tomów z atlasem zamiast 12 złr. za złr. 7
Beniowski, Hrabia. Historia podróży i osobliwych zdarzeń sławnego Maurycego. Augusta Hrabi Beniowskiego szlachcica polskiego i węgierskiego 4 tomy Warszawa zamiast złr. 6 za złr. 3
Historya nowożytna, ciąg dziejowy od odkrycia Ameryki aż do rewolucyj francuzkiéj przełożył na język polski L. J. 2 tomy. Warszawa 1852. zamiast złr. 5 kr. 24 za złr. 3 kr. 30
Kosiński Ad. Miasta, Wsie i Zamki polskie. Powieści i obrazki. 4 tomy Warszawa 1851. zamiast złr. 9 za złr. 5
Podróż do krajów podziemnych Mikołaja Klimiusza, Powieść norwegska tłumaczona z łacińskiego przez W. Stoinskiego 2 tomy. zamiast złr. 2 kr. 30 za złr. 2

Pracownia sukień męskich

F. BAŁUTOWSKIEGO

pod Nr. 323 przy ulicy nowej

posiada zapas znaczny sukień gotowych, a przy teraźniejszej porze jesiennej zaopatrzyła się w stosowne materje wełniane jesienne i zimowe. Sukni tak gotowych jak i zamówionych dostać w tej pracowni można po rozmaitych cenach niższych i wyższych.

1. **Surduty wierzchne,** tak zwane **Oberroki,** w cenie od 25 złr. do 50 złr. m. k. różnie, bruxeliną, półsuknem lub całe jedwabiem podszyte.

2. **Bundy do podróży** z grubego sukna, bardzo trwałe i nieprzemakające, od 25 złr. do 30 złr. m. k.

3. **Paletoty** do ciała przystające, od 20 złr. do 30 złr. m. k.

4. **Profetki** jakoteż **Karbonarki**, watowane lub dwustronne od 20 złr. do 35. złr. m. k. i to w każdym kolorze w jakim sobie kto życzy.

5. **Fraki** od 18 złr. do 30 złr. m. k.

6. **Pantalony** rozmaite, od 8 złr. do 14 złr. m. k.

7. **Kamizelki** pliszowe, axamitne, od 8 złr. do 12 złr. axamitne od 6 złr. do 12 złr. wełniane zimowe od 4 złr. 30 kr. do 7 złr. lżejsze od 3 złr. 30 kr. do 5 złr. m. k.

Kto mieszkaj ąc na prowincyi nie może sam przybyć do Lwowa dla wzięcia miary, potrzebuje jedynie przesł objętość korpusu swego pod pachami z uwagą czy budowa, cała jest zwyczajna, regularna, lub w czem się od zwyczajnej różni. Podług wyrachowań krawiectwa paryskiego pracownia uskuteczni podług tego robotę żądanych sukni, a za udatność jej ręczy. (170 15—20)

W księgarni **Żupańskiego w Poznaniu** jest do nabycia i można zamówić w księgarni

H. W. Kallenbacha

dzieło pod tytułem:

Wspomnienia Wielkopolskie,

przez **E. Raczyńskiego**,

2 tomy textu i Atlas rycin (miedziorytów) in folio 65 na chińskim pap. 64 Złr. m. k.
Sam atlas rycin na chińskim pap. 48 — — —

W tejże księgarni wyszły następujące dzieła i są do nabycia w księgarni

H. W. Kallenbacha

we Lwowie

1. **A. Małecki**, grochowy wieniec, komedja w 4ech aktach 1 Złr. 40 kr. m. k.
2. **Dr. Rymarkiewicz**, Nauka prozy 1 — 20 — — —
3. **Kasper Miaskowski**, Zbiór rytmów; przejrzany, objaśniony i opatrzony wiadomością o życiu i pismach Miaskowskiego do druku po raz trzeci podany przez Dr. Rymarkiewicza. 3 Złr. m. k.

(242 3—3)

KUNDMACHUNG.

Die Gefertigten bringen hiermit zur Kenntniss, dass sie bei dem mit **Sr. Excell.** dem Hrn. **Grafen Saint Genois** negozirten Anlehen von **3 Millionen 200.000 Gulden CM.** dem Banquierhause **J. G. Schuller et Comp.** in Wien eine namhafte Betheiligung übertragen haben, und dass dasselbe die Ausgabe dieser Theil-Schuldverschreibungen (40 fl. Lose) übernommen hat.

Es werden sonach Private, welche sich mit diesem auf solide Hypothekar-Sicherheit gegründeten Werthpapiere versehen wollen, so wie die **P. T.** Geschäftshäuser, die sich mit dem Detail-Absatz derselben befassen, ersucht, sich diessfalls mit dem vorbesagten Hause direkte ins Einvernehmen zu setzen.

Wien am 28. November 1855.

S. M. v. Rothschild.
(234 3—3) **Herrmann Todesco's Söhne.**

Ankündigung.

Die Saamenhandlung des C. Platz et Sohn in Erfurt unterhält bei dem Gefertigten ein Commissionslager von allen Gattungen Gemüse- und Blumensaamen. Die neuen Kataloge für Gemüse- und Blumen-Sämereien, so wie für Blumen-Zwiebel werden gratis verabfolgt.

Carl Schubuth.
Krakauer Gasse Nr. 150.

(240. 5—6)